

Lech
MAJEWSKI

Kamikadze wolności



tekst **Joanna Rachoń**
zdjęcia **Przemek Dzienis**

*Jego pierwszy film był o rycerzu, który wyruszył na poszukiwanie harfy,
bo jej dźwięk może sprawić, że świat będzie dobry.
Jego ostatni film rzucił na kolana cały świat (Polskę – na jedno).
Wszystko, co było między pierwszym i ostatnim, sprawiło,
że Lech Majewski należy do Gildii Reżyserów Amerykańskich
i Europejskiej Akademii Filmowej.*

Pływała pani kiedyś z delfinami?
– Nie... A pan?
– Ja tak. To najwspanialsza rzecz, jaką można przeżyć – mają tyle radości życia, energię... Żadne używki czy inne bodźce nie dadzą takiej euforii – uśmiecha się na samo wspomnienie i poprawia w fotelu tym charakterystycznym ruchem, który zwykle człowiek robi, kiedy wie, że ubieranie w słowa czegoś, wobec czego musiałyby okazać się boleśnie niewystarczające, nie bardzo ma sens. Chwilę wcześniej Lech Majewski mówi, że delfiny to tacy mądrzejsi i lepsi ludzie. Wyszły na ląd, zobaczyły, o co chodzi, i wróciły do wody. – Lech sam jest jak delfin – powie parę dni później Janusz Kapusta, od 30 lat jego przyjaciel, głównie mieszkający w Nowym Jorku, akurat spotkany w Warszawie. – Mógłby nie wychodzić z wody! Niewiele znam ludzi, którzy pływają jak on.

Niechący Kapusta powiedział więcej, niż myślał, że powie. Bo istotnie, w całym świecie niewiele jest takich, którzy po nim – świecie – pływają jak Lech Majewski. Tak się dają na falach kołysać i tak fale sami wzbudzają, mając przy tym świadomość, że nie cała woda z ich falą faluje. I jeszcze pokornie się na to godzą. Niewiele jest też takich, którzy z równym uporem coraz głębiej nurkują.

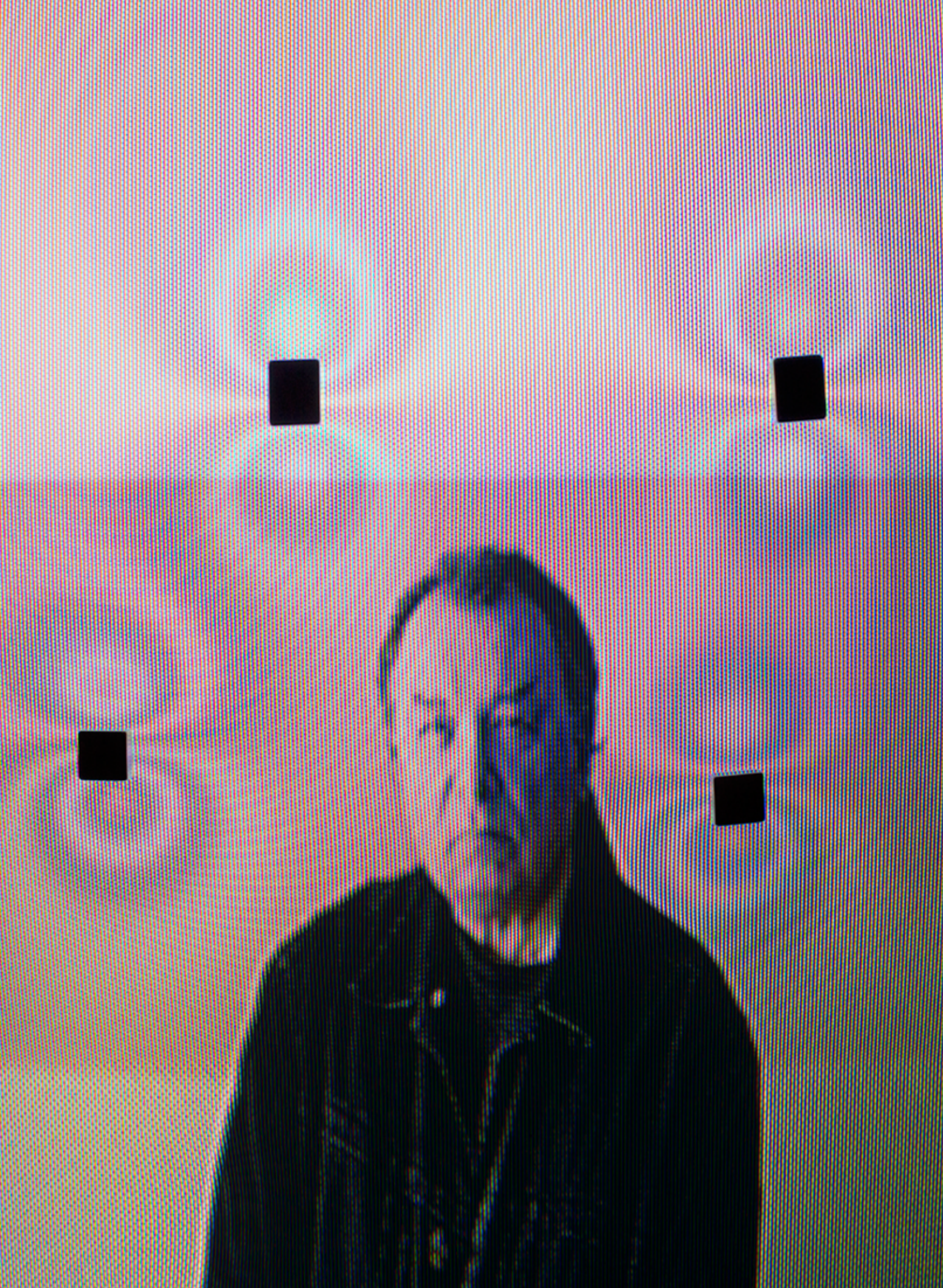
NAJPROSTSZY SPOSÓB NA PRZYCIĄGANIE GWIAZD

– Kiedy czytam o sobie cokolwiek, dobrego czy złego, jestem zawsze zawstydzony, nie lubię tego – mówi w świeżo odrestaurowanym biurze w Katowicach. To stąd ma działać Angelus Silesius, stowarzyszenie, którego od lat jest szefem. Gdy

jest w Polsce, mieszka piętro wyżej, w mieszkaniu po swoich rodzicach. Sypia w pokoju, w którym się urodził – „to daje siłę do życia i mocny fundament”. Pewnie też odpoczynek. Ostatnie dwa lata spędził w podróży: ludzie na całym świecie chcą go pytać, jak zrobił swój film „Młyn i krzyż”, zobaczyć, jaki jest człowiek, który odkrywa dla nas inny wymiar kina. W Indiach noszą go na rękach, w Iranie też, w Berlinie, Paryżu, Londynie, Tokio, Tel Awiwie piszą o nim: wizjoner, objawienie, człowiek, który zrewolucjonizował kino. Spece od efektów specjalnych w „Incepcji” czy „Avatarze” po festiwalu w Sundance przychodzili mu gratulować. Inni – obejrzawszy, deklarują chęć współpracy w przyszłości. Do tego akurat Majewski – gdyby nie był tak skromny – mógłby przywyknąć. Bo przecież do „Młyna i krzyża” – mimo śmiesznego budżetu – zaangażował wielkie gwiazdy, których specjalnie o udział prosić nie musiał. Zgłosiły się same. Charlotte Rampling po obejrzeniu jego „Pokoju saren” w paryskim Jeu de Paume napisała mu e-maila, że jest w wieku, kiedy sama może sobie wybierać reżyserów, zgłasza się więc do niego. Podobnie Michael York, obejrzawszy retrospektywę Majewskiego w MoMA w Nowym Jorku w 2007. Nawet Rutger Hauer, o którego Majewski sam musiał zwałczyć, z miejsca zobaczywszy w nim Bruegla, głównego narratora swojej historii. Aktor po przeczytaniu scenariusza i jednej rozmowie z reżyserem nie miał wątpliwości, że chyba istotnie jest holenderskim malarzem z XVI wieku (opowiada o tym w „Malemenie” nr 16). Zresztą nawet sam film powstał po tym, jak Michael Gibson, znakomity amerykański historyk sztuki, po obejrzeniu w Paryżu „Angelusa” – filmu







niezwykłego, o duszy Śląska, przezabawnego i mądrego, który obejrzyć trzeba ze dwa razy, by się i napatrzeć, i naśmiać, i jeszcze móc pomyśleć, co się właściwie na tym ekranie stało, że tak poruszyło – od razu w jego twórcy zobaczył kogoś, kto filmem mógłby opowiedzieć Bruegla przynajmniej tak dobrze, jak on sam to uczynił w swoich esejach o malarzu. Gibson wystąpił Majewskiemu swoją książkę. I tak się zaczęło.

ROBIĆ COŚ, CZEGO NIKT WCZEŚNIEJ NIE ROBIŁ

Trafił w czuły punkt, choć nie mógł przecież wiedzieć, że Lech Majewski, od lat szczenięcych jeżdżąc w wakacje z Katowic do wujka w Wenecji, miał przymusowy, bo przedsiadkowy dzień w Wiedniu. Zamiast włączyć się po mieście, godzinami wpatrywał się w dzieła Bruegla zgromadzone w sali numer 10 Kunsthistorisches Museum. Zafascynowany detalami, sposobem opowiadania świata, symboliką jego obrazów i techniką, próbował dociec, jak Bruegel zdołał tyle postaci zajętych samymi sobą i swoimi sprawami – bez świadomości, w jak wielkich wydarzeniach przez samą swoją obecność uczestniczą – umieścić na jednym płótnie. Któregoś razu podszedł tak blisko, że włączył się alarm. – Lech jest dociekliwy – potwierdza Kapusta, który – przypomnijmy – dzięki własnej dociekliwości odkrył k-dron i tym odkryciem raz na zawsze wszedł do historii (jeszcze nie jest pewne, czy aby tylko historii nauk ścisłych i sztuki, bo wygląda na to, że jego odkrycie działa żarłiwie na wybitnych przedstawicieli kolejnych nauk: biologii, psychologii, muzyki!). Więc. Skoro Kapusta mówi o dociekliwości Majewskiego – na pewno wie, co mówi.

Ciekawość Majewski mógł zaspokoić (bez uruchamiania alarmów), dopiero pracując nad filmem o Brueglu: wreszcie miał do dyspozycji laserowe powiększenia jego „Drogi na Kalwarię”. Do filmu zarządził szycie ponad 500 kostiumów – ręcznie oczywiście, bo nie znosi kłamstwa na ekranie. – Denerwuje mnie, jak na przykład kobieta wyjeżdża na dwa lata, zabiera z sobą dużą walizkę, a macha nią jak torebką. Po tysiącach prób ze światłem, z różnymi odcieniami i gatunkami tkanin, po znalezieniu odpowiedniego nieba w Nowej Zelandii (przy okazji wykładów je przyuważał i wrócił, by sfilmować), wreszcie można było robić film. – Okazało się – opowiada Majewski – że Bruegel w zupełnie nowy sposób potraktował perspektywę! Najprościej mówiąc, naginał ją tak, by wszystkie postacie były tak samo widoczne. Zrobił coś, czego w sztuce nikt przed nim nie robił.

Podobnie jak Majewski, dokonujący w sztuce rzeczy, których nikt przed nim nie robił. I nie chodzi tylko o filmy konstruowane wbrew temu, czego od filmu się oczekuje. Chodzi i o to, że u niego kolejne opowieści wyrastają w formach, w jakich najlepiej on je w danym momencie zobaczy: czasem to wiersz, czasem proza, kiedy indziej zdjęcie, film albo rzeźba. A bywa, że nowa opowieść przychodzi w muzyce – wtedy Majewski rozpisuje ją nutami. Za jakiś czas książka staje się filmem, operą lub wideo-artem, film jest pretekstem

do wystaw i pogłębionych wypowiedzi w formie wideo, opera zamienia się w film, a kiedyś napisane nuty, zagrane – budują mu tło. A wszystko razem jest spójne z jego, Lecha Majewskiego, czytaniem świata. Nie wymyśla nowego, swojego, zamkniętego – nieczytelnego dla innych, jak u wielu tzw. artystów współczesnych – ale odczytuje na nowo symbole w tym już zastanym. Tak aby znów do nas, jak do niego, który poświęcił im po kilka lat kontemplacji, mówili Bruegel, Fellini, Bosch, Homer, Bizet, Basquiat czy taki na przykład Dante. Tak czytelnie i atrakcyjnie, że za wszystko, co robi, zgarnia na świecie nagrody. Jest pierwszym artystą z Polski, i najmłodszym, któremu za życia urządzono w MoMA indywidualną retrospektywę twórczości. Jego opera, „Pokój saren”, stworzona z Józefem Skrzekiem została uznana za jedną z najwybitniejszych końca XX wieku. Po tym jak zrobił „Wojaczka”, on i reszta twórców zostali zaproszeni do grona głosujących członków Europejskiej Akademii Filmowej. W Polsce... W Polsce w zeszłym roku za „Młyn i krzyż” otrzymał Nagrodę im. Lecha Kaczyńskiego (wcześniej dostał ją Wojciech Kilar).

LEONARDO, POPKULTURA I RZUT OSZCZEPEM

Popularnością – patrząc na frekwencję na jego filmach na świecie – goni, zaryzykujemy, Dana Browna, który jako bodaj pierwszy w popkulturze tak udanie, że przyniosło mu to fortunę, sięgnął po sztukę wyższą, wchodząc w świat symboli, tajemnicy i niedopowiedzeń Leonarda. Majewski go goni, ale i dawno przegonił, bo o ile Brown działa zgodnie z oczekiwaniami mas, o tyle Majewski nie idzie z masowym odbiorcą na żadne kompromisy. Od popkultury trzyma się z daleka, ale dobrze ją zna i używając jej środków i ulubionego przez nią medium – filmu – na nowo wprowadza także do jej świata tych, którzy jego samego kiedyś zachwycili i wciąż są dla niego ważni. To jeden z najbardziej wnikliwych znawców sekretnych symboli w sztuce – zresztą i w tej dziedzinie doceniony, skoro z wykładami na ten temat podróżuje po świecie, zapraszany przez najznamienitsze uczelnie jako visiting professor.

Niewielu mu pamięta, że jako nastolatek trenował rzut oszczepem i na jednym z treningów pobił rekord świata juniorów, ot tak rzucając z przecucia, że to jest ten dzień, kiedy trzeba rzucić. Przyszedł, bez rozgrzewki rzucił, padł rekord, wyszedł. Coś z tej postawy ma do dziś – taką umiejętność słuchania siebie i zaufania temu, co słyszy. Niesamowite jest to, że z podobnym do tamtego rzutu skutkiem. Wszystko, co robi, jest przekroczeniem kolejnych granic – tak jak „Młyn i krzyż”, o czym na całym świecie się pisze; opera „Pokój saren” przyniosła ten gatunek do XXI wieku – jak pisano – wnosząc do niego duszę. „Krew poety” – cykl wideo-artów przygotowany specjalnie na retrospektywę w Nowym Jorku – w zupełnie nowy sposób kazał spojrzeć na wielowątkową narrację, bo Majewski, używając go, stworzył dzieło o nieskończonej liczbie możliwych interpretacji. Można by tę wylizankę



ciągnąć dalej – ale w Polsce poza „Wojaczkiem” niewielu o Majewskim przecież słyszało. Nie mówiąc o czytaniu – żadnej z jego książek kupić nie można. Ja je czytałam w czytelnich warszawskich bibliotek!

JAK TO HOMER ZAŁATWIA WYJAZD DO AMERYKI

– On zawsze był mądry i inspirujący – mówi o przyjacielu Janusz Kapusta, który dla Majewskiego stawał się od czasu do czasu scenografem (to on odpowiada za wielkiego byka, który kompletnie zmienił znaczenie „Carmen”; wspólnie zrobili w Niemczech operę „The Black Rider”). Obu ich zresztą łączy przekonanie, że najważniejsza nie jest specjalizacja w tej czy innej dziedzinie, ale to, co się myśli i co chce się z tym zrobić – reszta to tylko narzędzia. – W Grecji starożytnej było tak, że jak byłeś mądry, toś mądrze myślał o wszystkim – Kapusta się irytuje. – Teraz jest tak, że mądrość ma specjalizację: możesz być ten mądry od ucha, od szczęki albo nogi. Obaj mają to gdzieś i obaj swoim głowom odpocząć nie dają. – To jest wielki podarunek od losu – mówi Kapusta – spotkać i rozpoznać wielkość kogoś, kto przecież w chwili poznania nie ma dokonań, ale rozpoznać w nim tę emocję, predyspozycję i tak się nawzajem polubić w tym momencie, żeby się potem nie zgubić – cieszy się.

Poznali się w 1982 roku w Nowym Jorku na przyjęciu u Elżbiety Czyżewskiej. Majewski świeżo dostał zieloną kartę, o którą starał się w Anglii, po zrobieniu „Odysei” na Tamizie. W Polsce był już stan wojenny, nikt nie mógł wiedzieć, jakim wydarzeniem był tamten spektakl (jego fundatorem był Samuel Beckett!). Zresztą nikt by pewnie nie uwierzył, skoro na „Rycerza”, debiut filmowy Majewskiego na pokaz na festiwalu w Gdańsku w 1980 roku, przyszło pięć osób – zagraniczni dziennikarze i... Agnieszka Holland. Była oburzona, że nie zaliczono mu jako debiutu opowieści o rycerzu szukającym harfy, której dźwięk może uczynić świat dobrym. Po jej interwencji zmieniono zdanie. Za to po pokazie w Gdańsku w „Timesie” ukazała się recenzja, po której Majewski został zaproszony do Cambridge. Pojechał, bez grosza. Pożyczył mu kasę na dobry początek Lindsay Anderson.

Do Katowic Majewski wrócił po raz pierwszy już jako autor dwóch amerykańskich filmów. Pierwszy, „Lot świerkowej gęsi” (o młodym górniku porwijącym modelkę do Los Angeles, by spełnić jej marzenie), wyprodukował Michael Hausman, który właśnie zgarnął kilkanaście Oscarów m.in. za „Amadeusza”. W Londynie zobaczył „Rycerza”, zagadnął Majewskiego, czy ma pomysł na kolejny film, ten dał mu tłumaczenie swojej książki, Hausman przeczytał i postanowił: OK, wchodzę w to. Drugi to „Więzień Rio” z 1988 roku – wielki sukces komercyjny dla odmiany. Żeby go zrobić, młody reżyser pojechał do Rio de Janeiro. Tam przed wymiarem sprawiedliwości schronił się niejaki Biggs, którego skok stulecia obrósł legendą. Majewski zrobił z niej kolejny mit – ekranowy. Pracując nad jego udźwiękowieniem i montażem w Pinewood Studios pod Londynem, gdzie akurat Tim

Burton kręcił „Batmana”, Majewski godzinami wpatrywał się w szkice Leonarda dostępne w bibliotece w Windsorze. Zasmuciło go, że dziś nie ma sposobu na takie odkrywanie świata, jak czynił to da Vinci – jakby był pierwszym człowiekiem, który ogląda na przykład nogę konia – z taką pasją ją szkicował. Jakiś czas później podobną świeżość w opisywaniu świata zobaczy Majewski w twórczości... Basquiata.

MAŁA CZARNA Z DE CHIRICO

Zanim jednak zacznie pisać o nim scenariusz, zanim starym fordem z emerytowanym agentem FBI u boku ruszy na penetrowanie nowojorskiego półświatka, zanim wypyta o niego Madonnę i tych wszystkich, którzy go znali, powiedzmy o nim, Majewskim, coś ważnego. – Tym, co Lecha napędza od zawsze, jest poszukiwanie sensu – mówi Janusz Kapusta. Majewski nazwie to inaczej: – Cierpienie, pewien rodzaj bólu, na który można odpowiedzieć albo wewnętrzną śmiercią, albo poszukiwaniem.

Pierwszy taki raz zdarzył mu się, typowo, w wieku nastoletnim. – Wielu ludzi wtedy rezygnuje, poddaje życie – mówi. On zaczął szukać w książkach i w sztuce. – Nagle, nie wiadomo skąd – opowiada – przychodzą z pomocą ci wszyscy ludzie, o których się mówi, że nie żyją. Co to znaczy, że nie żyją, skoro wyciągają do mnie pomocną dłoń? – pyta.

– Z pomocą na co przychodzą?

– Z pomocą odnalezienia sensu życia. To jest moment znalezienia głębi. Na przykład Homer nauczył mnie znaczenia mitu w codzienności.

Poszedł na malarstwo na ASP. Właściwie to logiczne, skoro taki wrażliwiec od małego krążył po Wenecji. W czasie którego z Biennale – wtedy można było po prostu sobie na nie przyjechać – zdarzyło mu się poznać Warhola, ze staruszką De Chirico wypić kawę! Ale po roku studiów, nic nikomu nie mówiąc, napchał torbę wierszami, obrazami, szkicami i zdjęciami i wyruszył do Łodzi. Zdawać na reżyserię, choć teoretycznie było to z góry skazane na porażkę: do egzaminów dopuszczano wyłącznie absolwentów innych studiów. Ale właśnie w Wenecji, patrząc na „Burzę” Giorgione’a, zobaczył w niej „Powiększenie” Antonioniego. To było jak grom z jasnego nieba. Gdyby Giorgione żył dziś – pomyślał – robiłby filmy! Henryk Kluba, który dopuszczał do egzaminów, przyjrzał się zawartości torby, poczytał, porozmawiał z młodym napaleńcem i mówi: OK, spróbuj się dostać. I tak Majewski został najmłodszym studentem w szkole. – Mówili, że potraktowali mnie jak eksperyment. Rok później tak samo poszczęściło się Machulskiemu.

BERGMAN: PAMIĘTAJ, KAŻDY MOŻE SIĘ POTKNAĆ

Od zawsze wiedział, że znajdowanie sensu nie będzie proste. W Wenecji, gdzie – jak mówi – urodził się duchowo, wszystko zaprzecza prostym odpowiedziom. Nie ma tu dwóch takich samych pięter, nie ma nawet dwóch takich samych domów. Każdy, kto by je zdołał wskazać – otrzyma nagrodę.

To miasto z kamienia stojące na wodzie, a na wodzie – bo stoi na palach. A jeśli pójść głębiej – te pale niby w wodzie morskiej, ale pod spodem jest woda słodka... Czyli im głębiej idziesz, tym mniej oczywistości. Na reżyserii miał szczęście: jego opiekunem artystycznym był Wojciech Has, analiz filmów uczył go Królikiewicz. Na staż trafił do Bergmana. – Miałem dużo szczęścia. Byłem młody, napalony, sądziłem, że król filmu wszystko wie. A on nauczył mnie, że w kinie nie możesz wiedzieć. Wszystko, co robisz, wymaga urodzenia się na nowo – opowiada. – Nauczył mnie swoim codziennym zmaganiem wielkiej pokory. Każdy może się potknąć i każdy może zrobić niezwykły film. Tu nie ma mocnych.

POETA W WIEKU DOJRZAŁYM UCZY SIĘ FIZYKI

O Nowym Jorku, Wenecji, Katowicach czy Rio mówi, że się w nie ubiera. – Są miasta, które wkładam jak ubrania i dobrze się w nich czuję, ale są i takie, które parzą jak szata Dejaniry – mówi. Wszystkie jego książki dzieją się w Wenecji, stała się jego wewnętrznym pejzażem. Czytając Ruskina, zaczął lepiej ją rozumieć z jej zagadkami architektonicznymi, odwołaniami do tradycji Bizancjum, uwielbieniem dla geometrii. – Jeszcze 20 lat temu – mówi – nauki ściśle były dla mnie czymś tak odrzucającym: gdy wykladałem w Yale scenopisanie, założyłem się z kolegą wykładowcą i umówiliśmy się, że przegrany będzie musiał zrobić coś, czego najbardziej nienawidzi. Ja zaproponowałem od razu, że jeśli przegram, wysiedzę godzinę na wykładzie z matematyki. Zakład przegrałem i za karę miałem pójść na wykład. Poszedłem, kolega ze mną, bo nie mógł odmówić sobie przyjemności oglądania mojego bólu i... stała się rzecz przedziwna: zachwyciłem się tym, co usłyszałem!

Rzecz przedziwna, bo przecież z powodu fizyki wyleciał ze szkoły w jedenastej klasie i musiał powtarzać rok. Trafił wtedy do katowickiego „Oksfordu”, gdzie – jak sama nazwa wskazuje – edukowano takich jak on wybitnych inaczej. Tam zaczął sporo czytać. Drugi moment tak intensywnego czytania, kiedy to książki, a właściwie ludzie, którym chciało się je napisać, przeniosły go na stronę życia, przyszedł wiele lat później, w 1996 roku. W wypadku stracił dwie najbliższe osoby, a sam wyszedł z niego cało.

Zaczął chodzić na wykłady z chemii, fizyki, matematyki. Z profesorem od fizyki wody, z którym mieszkał po sąsiedzku, umawiał się na wspólne śniadania, by móc słuchać jego niesamowitych opowieści... Janusz Kapusta nie posiadał się z radości, że jego przyjaciel wreszcie podzielił i tę jego pasję (wielu uważa, że Kapusta – poza tym, że jest genialnym rysownikiem i artystą – jest też matematycznym geniuszem). Godzinami można słuchać, jak Lech Majewski opowiada o kosmosie, układach gwiazd, o tajemnicach, których pojawia się coraz więcej, im więcej wiesz: jak to możliwe na przykład, że wzory tradycyjnie umieszczane w weneckich oknach są dokładnym powtórzeniem zapisu ruchów Marsa i Wenus wobec Ziemi. Można godzinami słuchać jego opowieści o Śląsku, anegdot

z pokazów „Angelusa” czy spotkań z Kubrickiem, Formanem, o tym, jaki jest Rutger Hauer czy Viggo Mortensen.

„NIE MUSZĘ UCIEKAĆ PRZED SOBĄ”

Do 2015 roku Majewski ma zarezerwowane terminy. Na wykłady, kolejne wystawy, kolejne pokazy i retrospektywy, nie mówiąc o festiwalach, po których wciąż „Młyn i krzyż” jeździ i zdobywa kolejne nagrody. – Film był na 80, z czego ja musiałem pojawić się na 20 – mówi. Wciąż się nie może nadziwić, że film, który zrobił z myślą o czterech muzeach, trafił do tak szerokiej dystrybucji na całym świecie. Coś się w jego życiu zmieniło nieodwracalnie. Uzyskał niebywałą harmonię. I co on z tym robi? Penetruje dalej i pewniej, bo już nikt go z tej drogi zawrócić nie może. Nie ma w nim cienia zgorzknienia ani żalu, że w Polsce to, co robi jest mało zauważane. – Może sława by mnie rozleniwiła? – pyta. Zresztą, o co ja w ogóle pytam, jakie to ma znaczenie. – Dla każdego ważna jest pochwała z tego miejsca, o jakie zabiega – Kapusta jak zawsze logiczny. Po chwili, na moje „tak, ale”, dodaje: – Jeśli masz w sobie głębokie poczucie godności, to i ta Polska wokół jest godna.

Jeszcze w kwietniu Majewski będzie przewodniczył międzynarodowemu jury na Off Plus Camera. – Lubię festiwale, to cenna przerwa w pracy, odpoczywam i łapię dystans do własnej pracy.

– Kiedy pan robi to wszystko? – pytam, wysłedziwszy, że niekiedy nie podpisuje się pod wszystkim, co zrobił, by nie uznać, że zwariował. Jest reżyserem, scenarzystą, producentem, malarzem, artystą, pisarzem, poetą, wykładowcą, montażystą, kompozytorem, reżyserem teatralnym, bywa kostiumologiem, znawcą sztuki, fascynuje go filozofia, fizyka, kosmos. – W pracy nad filmem zbyt dużo czasu idzie w gwizdek. Zbyt dużo jest czekania. Na ujęcie, na światło, na zgodę, na pieniądze. Wielu tego nie wytrzymuje psychicznie, robi więc różne rzeczy: jedni ćpają, inni piją, jeszcze inni zajmują się skomplikowanymi układami damsko-męskimi, wchodzą w jakieś czeluści. Pojawia się czarna dziura w życiorysie. Czekać na rozstrzygnięcia filmowe, staram się nie czekać. Robię w tym czasie rzeczy, które mogę robić sam – wideo-arty, rzeźby, piszę, czasem komponuję. Nie muszę uciekać od samego siebie.

PS

Zapytany kiedyś o Miloša Formana, odpowiedział: – Jak można nie kochać kogoś, kto zrobił „Lot nad kukułczym gniazdem”?

Parafrazując: jak można nie kochać kogoś, w którym filmie („Angelus”) „Teofil miał zawsze otwarte okno – żeby mieć łączność z kosmosem. W zimnie głowa może najlepiej arbatować i nie latać myślami”. ■

